



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych  
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;  
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-  
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartał. tal. pr. 1  
sgr. 20.

## ZE „SNÓW O SZCZĘŚCIU”

Jaroslawa Vrchlickiego.

### O zmroku

Płynie strumień, rosa pada,  
Na gałęzi ptaszę drzemie,  
A księżyc łuna biała  
Rzuca drżący blask na ziemię.

Kwiaty, drzewa opromienia  
Srebrzy ciche wody fale;  
Coś w mej głębi dawne żale,  
Dawne budzi utęsknienia.

Znów do życia przywrócone  
Płyną z piersi mej piosenki,  
Takie smutne, rozżalone,  
Jak zbolątej duszy jęki.

Zapanował spokój słodki,  
Ciemno, cicho, tylko zdala,  
Jak tłumiony płacz sierotki,  
Szeptały wody srebrna fala.

Księżyc zaszedł już za góry,  
Mnie tak dobrze, jak w powiciu,  
Jakby nigdy żadnej chmury  
Cień nie czerniał na mem życiu.

Nawet lzy dotąd wylane  
Zda się w gwiazdy zamieniły,  
W falach wody wykapanie,  
Blaskiem iskier zaświeciły.

Czuję żywsze serca bicie,  
Żarem ognia pierś ma płonie,  
Inne, droższe, tkliwsze życie  
Widzę niby w róż koronie.

Wzrok wybiega w przestrzeń ciemną,  
Jakieś obce szmery słyszę,  
Ach! to w górze ponademną,  
Gałązkami ktoś kołysze.

Może ptaszek gniazdo wije,  
Wietrzyk nocy sen zakłóca,  
Zrywa róże i lilije,  
Na wód tonie listki rzuca.

Może płąsa rybek rzesza  
I nadbrzeżne drżą szuwary,  
A ku ziemi wierzba zwiesza,  
Jak z uściskiem, swe konary.

Może tylko serce moje  
Dawnych głosów słyszy echa,  
Przywołuje marzeń roje,  
W śnie do szczęścia się uśmiecha.

Melania Parczewska.

## OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg)

Śpiewałem, a Eugenia, oparta o ramię moje, słuchała, z miłością chwytając dźwięk każdy. Były to chwile tak błogie, jakie wymarzyć człowiek ledwie zdoła, a jednocześnie tak bolesne, jak najstraszniejsze katusze. Albo też mówiła mi: „Graj!” — Brałem skrzypce i grałem. Jeżeli kiedykolwiek wytworzyłem co natchnionego, to wtenczas, gdy ukochana moja wzrokiem miłości ożywczej wskrzesiła na chwilę twórczość w mej piersi. Nadspodziewanie stan chorej polepszył się: doktor wróżył, że przy pieczołowitości, nawet bez Włoch, parę miesięcy przeżyje. Nadeszła noc. Siadłem na fotelu przy łóżku, pilnowałem przerywanego snu żony: a jakież był to sen? Eugenia zamykała oczy i wpadała w jakieś uśpienie, lecz cochwila pytała się: „Jesteś tu?... mężu, mężu...” — i powtarzała słowo to tak czule, z takim uczuciem! a ja całowałem jej ręce wychudzone, alabastrowej czystości czoło, i jakby usiłowałem teńnąć życie własne w drogą istotę, z której życie już ulatywało... Nad samym rankiem nagle krew się rzuciła. Straciłem głowę, myślałem, że kona; przeszedł jednak atak straszny.

— Tego nie oczekiwałem! — rzekł doktor i ze zdumieniem ruszał ramionami. Eugenia na chwilę usnęła. Wtem zerwała się:

— Mężu! zobacz... słońce wstaje! Konradzie! patrz... jak tam ładnie... Poniesz mię do okna!



Prosiła i uśmiechała się tak słodko! Okryłem ją, zaniósłem i posadziłem na krzesło.

— Słuchaj, — mówiła przerywanym głosem. — W tej szkatułce... dziennik mój... Gdy umrę... a będziesz smutny... czytaj! Zobaczysz jak ciebie kochałam... Tam ostatnia wola moja... Pochowasz mię... w lesie, tam na górze... Zkąd widać Wisłę... i jezioro, co je zowią „Ciche“... Szumiec będą nademną... dęby, sosny... i znajdzie się słowik, co... zaśpiewa piosenkę... smutną i razem... radosną... A teraz... powtórz mi: Kocham, Kocham...

Powtarzałem. Zenonie! duszę swoją, resztę uczucia swego razem ze łzami swymi wypłakałem wówczas!

— Słuchaj! — mówiła dalej, — lepiej mi teraz... zaśpiewaj:

„Odziany w blask,  
Przesłańcze łask,  
Aniele, stróżu mój!“

Przy oknie stało krzesło.

— Tam... Zagraj!... — wyrzekła Eugenia.

Siadłem na krzesło. Wziąłem skrzypce w lewą rękę; ona wsparła mi główkę o piersi i rękoma objęła szyję, a ja grałem — improwizowałem. Nieprędko przestał — w tej chwili byłem natchnionym; piękne melodie musiały płynąć z mych skrzypiec... Eugenia szeptała:

— Jeszcze graj! jak mi... dobrze... Kocham!...

Grałem dalej. Natchnienie, zastosowując się do nastroju mej duszy, mimowoli ozwało się w rzewnej, tęsknej melodii, która stopniowo przyjęła barwę smutnego marsza... Słońce już wtedy posunęło się było znacznie na wyżynę niebieską i oświecało uroczą postać Eugenię... Cisza była dokoła; tylko ptaszki śpiewały — wesoło, a ja grałem tak smutno... Nagle ona westchnęła głęboko i prawą rękę moją potrafiła; smyczek, krzywo pehnięty, wydał akkord fałszywy i tak silny, że struna pękła. Spojrzałem na Eugenię — krzyknąłem: nie żyła! — Z ostatnim dźwiękiem żalobnej pieśni pieśń jej życia — zamarła! — Zbiegli się wszyscy... Chodziłem jak nieprzytomny, drogiego trupa nosząc po pokoju i bezmyślnie tylko powtarzałem ostatnie słowo Eugeni: — Kocham, Kocham! — Przemocą nieledwie odebrano mi ją. — Jak przez sen pamiętam, że doktor mówił:

— On ją zaziębł i... któż mógł to przewidzieć?! — ona też nieostrożna...

Pamiętam również jakby powtórzenie ślubu: ksiądz, świece woskowe, blask padający na lica drogiej mej zmarłej, tłumy włościan ze współzuciem patrzących na tę, którą aniołem za jej dobroczynność zwali, płacz domowników... — Wszystko to snem mi się teraz wydaje. Ja jeden stałem z suchymi oczyma — szklistym wzrokiem patrzyłem na Eugenię i zcicha wciąż powtarzałem:

— Kocham, Kocham! — albo szeptałem pieśń jej ulubioną:

„Odziany w blask...“ i t. d.

Złożono Eugenię do trumny; chciałem ją z niej wyrwać. Proboszcz coś mi prawił, doktor jakies lekarstwo dawał i mówił wiele, długo, ale co? — tego nie pamiętam.

Chcieli bezemnie pochować Eugenię, alem zdaleka usłyszał: *De profundis*... a ponieważ drzwi zamknięte były, wybiłem okno, przez pole pobiegłem, jak stałem, bez czapki, i gdy trumnę spuszczano do grobu, usiadłem na brzegu i powtarzałem: „Kocham, Kocham!“ Wzięto mnie pod ręce i odprowadzono... Postawiono zwykły krzyż drewniany, zanim-by marmurowy pomnik ozdobił grób mego — szczęścia. Jam krzyż ten objął, i ściskając go, śpiewałem:

„Odziany w blask...“ i t. d.

Wtedy poraz pierwszy od śmierci żony łzy z oczu mi popłynęły. Po pogrzebie zachorowałem obłącznie; byłbym umarł, ale doktor mówił mi potem, że owo wyskoczenie oknem i powietrze wiosenne wstrząsnęły moją naturą i wpłynęły na to,

że pod krzyżem zapłakałem; gdyby nie ów płacz, to ten trzeci już atak na mózg byłby mnie zabił.

— Do trzech razy sztuka się udaje... — dodał doktor. — Nie oddawaj się pan melancholii, bo czwarty atak zgubi!

Jakgdyby mię cokolwiek jeszcze zgubić mogło! Wszystkom postradał — nic do stracenia nie mam! Zalecono mi rozrywkę: wyjechałem więc do miasta, ale i pośród tego gwaru tłumów, taksamo jestem samotny, jak pośród dębów i lip Zahorowa. Ciotka tam mieszka; dała mi Grzegorza — on się mną opiekuje: z Eugeni na mnie przelał przywiązanie swoje. Na pociechę przedczesnej starości, ani drogich istot, ani pieśni nie pozostało — a dręcząc mnie wspomnienia bolesne! Może było coś we mnie takiego, co usprawiedliwiało myśl, która mię wiodła przez życia drogę — myśl, że owym geniuszem przepowiedzianym, co miał w jednej, jedynej melodii wylać duszę swą całą, — a pieśń ta miała stać się nieśmiertelną, jednocząc w dziedzinie tonów wszystkie melodie, jakie tkwią nieświadomie w sercach różnych ludów ziemi. Może był we mnie talent, nie tak olbrzymi, jak mi się wydawało, lecz niepowszedniej siły... Charakter dumny, zarozumiałość — zniweczyły i tę cząstkę geniuszu, bo praca nie rozwinęła ziarn należyte, nie dała im pokarmu: niedziw więc, że roślina skarłała; a tu przygnębiły ją jeszcze okoliczności nieprzyjemne, zwarzył ją mróz niepowodzeń, — i zginęła marnie, choć początek sam wiele obiecywał.

Różne są charaktery ludzkie! W innym wieku nieszczęścia możeby właśnie rozzarzyły iskrę, wyolbrzymiły ją w płomień; mnie moje nieszczęścia złamały. Nic już w sobie nie czuję, prócz smutku, niczego nie żadam, prócz spokoju. Znajdę go gdzieś, tam — po zgonie! I, jak-em wyrzekł na wstępie tego „listu ostatniego“ — do tych dawnych krzyżów, które już znaczą ścieżkę mego życia, u kresu jej los się dopomina jeszcze jednego — już ostatniego... Kręta była ścieżyna i najeżona cierniami, ale się już skończy niebawem — u znaku zbawienia...

Skończyłem swoją spowiedź, Zenonie! Dzięki ci; tyś mi współzucie okazał, chociaż obcy mi jesteś... Jako ostatnie wspomnienie po nieszczęśliwym Konradzie, zostawiam ci historią życia swego, doprowadzoną, rzec można, do ostatnich dni, bo chociaż-em nie prorok, widzę, że kres mój bliski. Przez pamięć na mnie, przeczytaj wszystko, choć wiele z tego, być może, nudnem ci się wyda; sporo drobniaków tu załączyłem, które ciebie nie zajmą; ale wiele wybaczyć należy temu, kto stoi nad mogiłą i najdrobniejsze nawet życia szczątki — wspomnienia — troskliwie w sercu pielęgnuje!

Dziwne czasami myśli przychodzą mi do głowy — śmieszne, a zarazem okropne — lękam się... zwaryować — zwłaszcza teraz, gdy jednym rzutem oka, pisząc ten „list ostatni“, przeszłość swą ogarnąłem. Kto wie może-by to było dobre i zabawne nawet, gdybym postradał pamięć wszystkiego, co się ze mną działo, i zaprzątnięty jedynie drobnostkami ostatnich chwil istnienia swego, spokojnie spuścił się tam, z ką „powrotu niema“, jak mówi Wirgiliusz, czy też inny jakiś autor — pergaminowy. Dawno już łacińskiej książki w rękę nie miałem, — zdaje się — od stworzenia świata!... Dziwne to było życie moje, kubek w kubek, jak — pana Prometeusza Kaukazkiego. Imię polskie: na „ski“, więc — nasze! — Dni spędzam dobrze, spokojnie — karmię wróble i gołębie jak moja droga zmarła, na skrzypcach brząkam i czasami gryzmołę, ot tak, jak teraz, — ale w nocy spać nie mogę, a chciałoby mi się zasnąć, ale nie mogę — mam gości — wspomnienia, i... niedobrze, gdy przychodzi Roman, jako duch bezcielesny. — Korona z lilij wodnych czoło jego wieńczy, na ustach piana, i choć twarz pogodnie spogląda, — nieprzyjemne to zjawisko! Gdy się zjawi Eugenia lub rodzice moi, no! jeszcze nic; owszem lubię to, ale Roman... A jak zacznie opowiadać, że wiele ryb w Wisłę, że kamyczków jeszcze więcej, a ziarenek piasku jeszcze owiele więcej — reszta włosów na głowie mi powstaje. Wizyt takich nie lubię. Świece zapalam, ale to niebardzo pomaga, bo on je zawsze pogasi — i zno-

wu ciemno. Potem, gdy te koty — czarne, szare, białe, przyjdą i czychają na gołębie — znowu źle. Ja mówię im: „tak“, a one: „nie!“ — Cóż robić? przeczenie, to znamię naszego wieku, bo niech się znajdzie jeden, co powie: „Tak!“ — zjawi się koniecznie inny, co powie: „Nie!“ I poczubią się... A jeden i drugi — mają racyą: Tak — to tak! nie — to nie! Więc i koty mają racyą? E, nie! co do mnie — wyjątek! Ale najgorzej, kiedy mandaryni z Chin przyjadą z herbatą, czy też z jakąś rośliną korzenną — *żeń-szeń*, co niby cudowną ma własność uzdrawiania — od bólu głowy — dla mnie ją tylko przywożają! Dobre to wprawdzie, ale nie to, co opium! A Anglicy — szelmy wiele tego opium do Kantonu przywożają, więc Chińczycy, żeby dowóz zrównać z wywozem, odprzedają mnie. Ale bardzo wiele trzeba pieniędzy wydać, aby kurs podnieść do przyzwoitej wysokości, a potem już kupować za taką cenę, za jaką w Indyach „John Bull“ sprzedaje. Byłoby to jeszcze znosnem, lecz te ułamki, co się zdurzają z pieniędzmi angielskimi, do reszty mię nudzą, bom w arytmetyce słabszy niż w filozofii. Polityczne też sprawy Europy spać mi nie dają, i jak Temistokles nie mogę spokojnie się wylegać, słysząc o laurach Napoleona III. Bo czemuż jest on lepszym odemnie? Zdaje, że się nawet na skrzypcach grać nie umie! A nie sztuka ogłosić siebie trzy razy pretendentem, i potem, dzięki pamięci Święto-Heleńskiego dziadka (zapewne w Grecyi!) zostać Bogdychanem Szampanii. Ehe! żebym ja miał takiego stryja Napoleona! — nie gorzej-bym się spisał! — A ta Szampania?! Pojadę tam koniecznie, i choć — raz w śmierci utnę sobie za kołnierz, ale bez Grzegorza! Nie pozwala mi starowina, a w księdze przeznaczeń już powiedziano, że wino, to rzecz wcale niezła. Horacyusz mówi: „laetificat cor“, Noe też był nie głupi, a i Kopernik zapewne dawno o tem wiedział... Ale — przecież i ja myślę zostać astronomem; tylko jeszcze nie rozumiem: jak to można zliczyć wszystkie gwiazdy i planety? Już tyle dni pracuję nad tem, a do końca jakoś dojść nie mogę! Ot, gdyby noce były dłuższe, albo gdyby zaćmienie — ziemi się zdarzyło, byłoby więcej czasu: wszystkiby gwiazdy nawet narysował, za nic-bym sobie miał Kopernika, Galileusza, Newtona.. Ba! siadłbym jeszcze wygodniej na Krakowskiem, przed domem Staszycy, nawet z czapką na głowie! bo Kopernik — może wylusieć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## SZEREGOWIEC

Wspomnienie z 1870 roku

przez

Alfonsa Badin

(przekład z francuzkiego).

(Dokończenie).

Droga była bardzo uciążliwa, bo popsuta, wyłobiona przez ogromne działa oblężnicze, które książę Karol Fryderyk sprowadzał dla bombardowania Metz, przedstawiała się jak rów błotnisty. Posuwaliśmy się też bardzo, bardzo powoli i z tej jeszcze przyczyny, że jakkolwiek tylko jeden nasz korpus, 2-gi, był pędzony tędy, ciągnęło się za nami niezliczone mnóstwo powózek, należących do dywizji pruskiej, która nas konwojowała. Było też niemało ustających między nami, i ciągnęliśmy jak za pogrzebem, aż zaraz za wioseczką Pouilly droga tak się zatkała, że kazano nam, jak wczoraj, rozłożyć się obozem w szczerem polu. Przecież teraz już nasze leża nie były tak błotniste, tak grzęzkie, gdyż położenie nieco górowało, ale za to trafiliśmy na dawny obóz pruski, i co tu znajdowało się zgnilizny, odpadków wszelkiego rodzaju, co najwstrętniejszych pozostałości: trudno sobie wyobrazić. Nie pozwolono nam posu-



nać się dalej choć o staj kilka, lecz na szczęście rzeczka Seille płynęła niedaleko, o jakie 20 metrów; a że nasi strażnicy nie byli tak barbarzyńskiej natury, jak wczorajsi, mogliśmy czerpać sobie świeżą wodę, napić się, umyć, orzeźwić trochę. Przytem kompanii naszej wypadł los szczęśliwy, że znalazła za sobą kawałek muru. Nie był to dach, ale zawsze jakaś zasłona, jakies oparcie; niegdyś wznosił się tu młyn, jak do malowania rzucony wśród krajobrazu, Młyn Fleury, cel wycieczek dla młodzieży z Metz; obecnie pozostała z niego tylko ta jedna ściana poszczerbionego muru. Po drugiej stronie drogi, na łagodnej pochyłości niezbyt wyniosłego wzgórza, właśnie naprzeciw nas, widniała wioska Fleury, górująca nad młynem i rzeczką, która uciekała w dół, rysując bardzo wdzięczne linie brzegów swoich. Z miejsca, które zajmowała nasza kompania, przedstawiała ta woda żywa niezmiernie miły widoczek sielski; otwierała się tu na błonia i łąki perspektywa rozległa, widać było daleko kraj żyzny i wesoły.

Kiedy szedłem do rzeczki po wodę dla naszej kompanii i, uszedłszy kawałek drogi, odwróciłem się w tył, patrząc za towarzyszem wyprawy, który się opóźniał, ujrzałem Dulaurier'a, stojącego samotnie. Tonął wzrokiem w obrazie tym, spokojnie pociągającym; była tam przestrzeń otwarta, ten swobodny oddech dla piersi, którego nam brakło—była tam wolność....

Westchnąłem i z pochyloną smutnie głową zeszedłem ku rzeczce. W chwili, gdy mój spuszczający kubek, dla zaczerpnięcia wody, uczułem kogoś sobie; nachylony jak i ja, położył on mi rękę na ramieniu, a gdy i jego kubek zanurzył się w Seille, głos cichy szepnął mi do ucha: — Czy widzisz tę wysepkę na środku rzeczki? Przypatrz jej się dobrze, nie pokazując tego po sobie. Powiem ci potem dlaczego....

Był to Dulaurier. Zdawało się, że czerpiąc wodę, oparł się pokoleżeńsku o mnie, lecz nie mogłem zrozumieć: dlaczego mówił tak cicho, dlaczego kazał mi się przyglądać wysepce, mającej ledwo kilkanaście metrów kwadratowych przestrzeni? Niegdyś wznosił się na niej mały murywany budynek, należący do młyna, z którym łączył wysepkę mostek drewniany. Ale teraz nie było już, ani tego mostku, ani budynku, i sterczał tylko stos gruzów, między dwoma karłowatymi bukami. Cała wysepka była pełna cegieł i kamieni.

Dość mi było spojrzeć, aby dostrzedz to wszystko; chciałem zapytać Dulaurier'a: Co za interes mogła mieć dla nas wysepka? lecz już go przy mnie nie było. Znalazłem go dopiero w obozie, w namiocie pod murem. Siedział, oparty o mur plecami; widocznie czekał tam na mnie i pośpieszyłem też do niego zaraz, tak przecież, jakgdybym czynił to przypadkowo, odniechcenia. — Coś mi chciał pokazać na wysepce?—zapytałem zeicha.

— Przyjrzałeś się jej?

— Przyjrzałem.—O co ci chodzi?

— Słuchaj uważnie, co ci powiem, ale głównie zachowaj się spokojnie wobec wszystkiego, cokolwiek usłyszysz, aby nikt nie zwrócił na nas uwagi, nietylko strażę pruską, ale nawet kolledży. Sądzę, że gdyby w nocy ktoś dostał się na wysepkę, mógłby się łatwo schować w rozwalinach.

— Chcesz uciec?—wykrzyknęłam prawie.

— Cicho, bo zepsujesz wszystko. Dopłynąć do wysepki nie trudno; co zaś do muru, pod którym siedzimy, widziałeś, że ledwo się trzyma. Można łatwo wyważyć od dołu kilka cegieł i zrobić taki otwór, aby człowiek mógł się przesliznąć na drugą stronę i gdy tylko będzie już noc zupełna, dokonamy tego jakimś takim żelazem. Najważniejsza rzecz, aby nikt nas nie podpatrzył, bo gdy raz już będziesz tam, między rumowiskami młyna, przeczołgasz się jak nic do rzeczki, jak nic przepłyniesz niegłęboką tu wodę i znajdziesz się na wysepce. Trochę odwagi, trochę zręczności, a staniesz u celu.

— Tak, ale gdy jutro rano nie stawimy się na apel, zaczną szukać i odkryją zbiegów, potem rozstrzelają.

— Może być, ale kto nie ryzykuje, nie ma. Warto spróbować, gdy idzie o wolność.

— Naturalnie. — Nie waham się też bynajmniej i jestem tegosamego zdania, że stawka warta gry.

— Przytem uważałem, że dziś rano nie liczone nas bardzo ściśle i można się spodziewać, że nie dostrzegą ubytku jednej, a nawet dwóch osób. Tylko przy ucieczce trzeba się mieć na ostrożności, czekać ciemnej, głębokiej nocy, a nawet potem już ani się ruszyć z kryjówek, nietylko dzień cały, ale może dwa, dopóki droga się nie oczyści. A nawet i wtedy jeszcze nie można brawować: trzeba przebierać się do samej granicy bardzo, bardzo ostrożnie i przebywszy ją nareszcie....

— No, to już mniejsza co dalej. Przez Szwajcaryę lub Włochy łatwo wrócić do kraju i złączyć się z pierwszym lepszym oddziałem naszych.

— Cicho, proszę cię. Wszyscy nie mogą wymknąć się tą furtką zbawienia i co najwięcej dwóch może próbować szczęścia. A i towarzysz musi być pewny.

— Mnie ufasz zapewne. Ty będziesz wodzem....

— Nie, ja nie mogę. Musisz sobie dobrać kogo innego. Weź Lallemont'a albo Benjamina. Ale Lallemont osłabł bardzo, może, mu zabraknąć sił, i radzę ci Benjamina. Tak, weź jego....

Darmom go prosił, darmom namawiał, tak nawet unosząc się przytem, że mnie musiał mitygować co chwila, abym się nie zdradził. Wierzył w możliwość, niemal w pewność ucieczki, ale nie chciał z niej skorzystać, bo nie chciał opuścić towarzyszy.—Ty co innego—mówił—ty nie wzięłeś żadnego zobowiązania na siebie; gdy przeciwnie, ja przyrzekłem kapitanowi Meunier, że go zastąpię przy kompanii. Nie opuszczę jej też, chyba umierając. Nie trać czasu na słowa, nie męcz mnie i siebie.

Był wzruszony, ale poznałem, że nie zmieni postanowienia. Ścisnął mnie za rękę i zmusił prawie, abym wstał, poszukał Benjamina i rozmówił się z nim pocięch. — Jeżeli nie przystanie, jeżeli się będzie bał, uchodź sam niezwłocznie, nie szukając już nikogo więcej — radził mi.—Tajemnica może się utrzymać jedynie między dwoma.

Gdy wróciłem po pewnym czasie z wybranym przez niego towarzyszem doli czy niedoli mojej, Dulaurier już wyjął był z muru kamień jeden.—Trudniej to idzie, niż myślałem—rzekł mi z uśmiechem—mur jeszcze tęgi.

Pracowaliśmy kolejno, ale narzędziami naszymi były tylko noże kieszonkowe. Kamienie i cegły wydobyte układały się na boku, bo trzeba było potem założyć niemi otwór, aby wrazie odkrycia ucieczki, nie tracono od razu na nasz trop. Jeszcze przy tej pracy błagałem Dulaurier'a, aby uciekał z nami, ale nie dał mi nawet mówić o tem, i po godzinie roboty, gdy otwór już był dostatecznie obszerny, nakazał nam prawie, abyśmy niezwłocznie przystąpili do dzieła. Dwóch ludzi ratujecie dla Francji—mówił prawie surowo—dwóch żołnierzy, którzy powrócą wkrótce w szeregi. Zatem naprzód.... prędko.

Benjamin przecisnął się pierwszy, mnie brakło siły. Nie był to strach przed kulami pruskich placówek, ale żal niewymowny, że zostawiam w łańcuchach niemieckiej niewoli tego szlachetnego człowieka, tego bohatera, kryjącego się pod prostym mundurem szeregowca. Pochwyciłem też pociemku jego rękę, zawalana błotem i gliną, i poniosłem do ust z uszanowaniem i miłością. Prędko wsunąłem się w ciemną paszczę otworu, aby nie zacząć płakać jak kobieta, jak dziecko.

Poszło nam, jak przewidywał Dulaurier. Przepłynęliśmy wodę i przyczaili się między ruinami, czekając dnia z biciem serca. Nie o nas samych chodziło: gdyby pomiarkowano, któreśmy się wymknęli, rozpoczęłoby się badanie pełne najsmutniejszych skutków dla całej kompanii i zaczęły mnie ogarniać wyrzuty sumienia za ten ratunek egoistyczny, którego ciężar mógł spaść na innych. Świt jesienny, szary i smutny, obudził wkońcu obóz, który mogliśmy obserwować wygodnie z głębi naszego ukrycia. Widzieliśmy wszystko: jak wstawano, jak oficerowie niemieccy poczuli krążyć między naszymi, jak luzowano warty, rozdawano żywność. Co moment mogli odkryć naszą ucieczkę i wzburyć cały obóz poszukiwaniem: to też trudno wyrazić uczucie doznane, gdy około ósmej godziny ujrzeliśmy szykowanie się naszych biednych towarzyszy w szeregi i wreszcie wymarsz.

Tego jeszcze dnia zmrokiem przepłynęliśmy

rzeczkę w kierunku przeciwnym, dostaliśmy się na jej brzeg drugi i puścili na przełaj przez łąki i pola ku granicy belgijskiej, którą przebyliśmy w pobliżu wioski Saint-Pancré. Benjamin znalazł dobrze okolicę i nie błądziliśmy bardzo, a gdy już raz stanęliśmy na gruncie neutralnym, duch w nas odżył. Nie mieliśmy zgoła pieniędzy; ale są na świecie dobrzy ludzie, serca współczujące z takim nieszczęściem, jakimuśmy ulegali, i nietylko nakarmiono nas, dano nam gdzie wypocząć, lecz dostarczono pasportów, sukien, i przebyliśmy szczęśliwie Prussy Nadreńskie i Wielkie Ks. Badenkie, aby następnie przez Szwajcaryę, od strony Genewy i Sabaudyi, wkroczyć na Ziemię Francuską. W dwa dni potem przybyliśmy do Tours, gdzie nas wcielono do 45-go pułku piechoty pułkownika Didier, pod którym odbyliśmy drugą kampanią Loarry.

Mój towarzysz zginął dnia 7 Grudnia w bitwie pod Langlochère; mnie aż do końca nie dosięgnęła żadna kula, nie drasnęło nawet żadne ostrze nieprzyjacielskie.

Po zawarciu nieszczęśliwego pokoju najpierwszym moim czynem było powzięcie wiadomości o Dulaurier'ze. W ministerjum wojny powiedziano mi, że dawny mój pułk znajduje się w Kassel, ale list tam pisany, tak pozostał bez odpowiedzi, jak bezskuteczni byli wszystkie poszukiwania, czynione między powracającymi do kraju żołnierzami. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Rozrzucenie niewolników po całym obszarze Niemiec utrudniało mi usiłowania; ślad powzięty w jednym miejscu zacierał się mimo wszystkich starań moich w innym. Niejedna rodzina francuska płacze tak zaginionego bez wieści, który albo gdzieś zmarł w lazarecie, poszedł bezimiennie w grób wspólny, albo też, wykroczywszy coś przeciw okrutnej karności wroga, został rozstrzelany, zamordowany bezlitośnie. Generała Lapasset zaraz prawie po powrocie do kraju wysłano do Algierji dla przytłumienia powstania Kabylów; pisałem tam do niego z zapytaniem: czy nie wie co o znajomym sobie, a w brygadzie jego służącym Dulaurier'ze? ale odpowiedź otrzymana niczego nie rozświeciła. Generał nie znał żadnego Dulaurier'a, nie wiedział o kim chcę się od niego dowiedzieć i przeproszał, że nawał wypadków wybił mu z pamięci nazwiska jego podkomendnych, którzy przecież liczyli się na tyśiące. Czy przecież nie zdarzy się ktoś inny, ktoś z bliższych towarzyszów niewoli poszukiwanego, któryby mnie uwiadomił o jego losie? Gdyby to nawet nie miało nastąpić nigdy, zachowam niemniej w czci najgłębszej, w czci serdecznie miłosnej pamięć szeregowca Dulaurier'a — szeregowca-bohatera.

## Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1881 r.

### Kongres literacki międzynarodowy.

Prawo własności literackiej jest przedmiotem spornym. — Główność obrad kongressu. — Ludzie i rzeczy. — Francuzi, Niemcy, Kraszewski. — *Concordia* (Festkneipe). — *Maaergesangsverein*. — *Kahlenberg*. — *Semmering*. — *Salon magnacki u dziennikarza*. — *Lazarus O zadaniu kongressu*. — *Mickiewicz O przesądach*. — *Ulrich O W. Hugo*. — *Lermina i Ulbach O Wiedniu*. — *Rittershausen O kobietach*.

(Dalszy ciąg).

III. *Lermina* odczytał: *List Paryżanina z Wiednia*:

Pisze jakoby syn do matki; jestto wiązanka komplementów dla Wiednia, *causerie*, która zaleca się lekkością. Więc najpierw opowiada, że duch jakiś zaczarował go, uniósł w obce miejsca, a gdy się obudził, w Wiedniu, nie znalazł różnicy, ujrzał się między przyjaciółmi, jakby w domu między *dobrymi ludźmi*. Już na kolei go ścisłano i całowano, a on pozwalał na to. Nie ma czasu pisać, pisze tylko dlatego, żeby donieść, iż go ani Wiedeńczycy, ani Wiedenki nie pożarły.

Wiedeń jestto coś tak delikatnego jak koronko-



wa chustka; niewiedzieć jak ją wziąć w rękę. Jest to małe miasteczko, otoczone wielkim miastem. Kwiaty, pałace, portale, rzeźby, polichromie wszędzie — aż za dużo tego. Wiedeń kupił sobie spuściznę po Atenach. Ringstrasse jest tak szeroką, że trzeba ją dorożką przejeżdżać, a tak długą, że chłopiec dziesięcioletni, chcąc ją całą przejść, gdy doszedł do końca, był już *épouseur'em*. Mówią, że zatrzymywał się w drodze, lecz to nieprawda.

Domy olbrzymie, przestrzeń, powietrze, światło, o jakich się nie śni Paryżowi, który mieszka w tabakierkach.

Jakież moralne wrażenie? Wiedeńscy tak łagodni i usłużni, że nawet Lermina, gwałtowny i gorączka, cały tydzień nie miał sposobności wybuchnąć. Dziwią się, jeżeli się od nich nie żąda księżyc. Lecz to zapewne tylko wobec cudzoziemców są takimi — między sobą pewno srodze dokazują. Mają zaraźliwą otwartość i wesołość. Podczas bankietu my byliśmy cicho, oni hałasowali. (To nieprawda: Niemcy z Cesarstwa hałasowali). Lubią się bawić, a tacy ludzie zawsze wychodzą na ludzi. Cowięcej, oni wydziedziczyli nas z naszej *courtoisie*, która już u nas przerodziła się w *sans-façon*. Wszyscy, wszędzie: fiaker, trafikantka, kelner, kupiec, kłaniają ci się ciągle, jakbyś był szachem perskim. Towarzystwo mężczyzn jest serdeczne, przyzwoite i zawsze parlamentarne. Jeżeli to nasze *właściwości* francuskie, to zdałoby się odebrać ich nieco napowrót.

Wiedni są poprostu zachwycające, podobne do żywych, pieprzonych (*picantes*) Paryżanek, ale mają więcej wdzięku i powabu, a przezierają cię dziwnie nawskroś głębokimi, czystymi oczami i rzekłbys, że cię odrazu pytają: kto jesteś? głupiec, czy rozumny, serdeczny czy egoista? Największy to kłopot. Odpowiada się coś pospolitego, lecz one są pobłażliwe. (To ostatnie tylko prawda, wcale nie są wymagające). Pierwszym ich powabem jest gibkość figury; (zwykle są otyłe aż do niekształtności, nawet panny). Sznurują się zanadto, mają kocie ruchy. Potem oczy, potem delikatność włosów, małe uszy, jak muszelki. Każdy Paryżanin uważa się zawsze wobec kobiet za zwycięzcę. Tutaj musiał spokornieć. Wiedniaka lubi bajdurzyć, ale o godności swojej nigdy nie zapomni; lubi kadzidła, ale nie zbliżają się zanadto, bo poparzą sobie palce.

Oczywiście, że taka pogadanka musiała się podobać. „Niema przecież, jak Francuzi!“ — mówiły sobie tłuste słuchaczki.

IV. U l b a c h wygłosił pogadankę: *Paryżanin w Wiedniu*. Uzupełnia ona poprzednią:

Francuzi ciemnych stron, wad, w Wiedniu wyszukają nie mogą. Czemu? bo kiedy serce jest zdobyte, wszystko inne kapituluje. Plamki, jeżeli są, to tylko jako muszki piękności, „grains de beauté“. Uśmiechnione oblicze Wiednia oczarowało go, a tu należałoby poważnie studyować takie wielkie zbiorowisko. Odmłodzenie miasta jest tak ogromne i dziwne, że zupełnie opanowuje. Dwa miasta tu się gnieźdzą; jedno stare, w wąskich ulicach, pałace z herbami, karyatydy — tu się poruszali filozofowie za czasów Maryi Teresy; na schodach pałacu ambasady francuskiej nie zadziwiłoby spotkanie Voltaire'a. Szanujcie to stare miasto Mozarta... Plan nowego miasta, gdy już cały będzie wykonany, to monumentalne arcydzieło, olbrzymie rozmiary; renesansowy powiew z Włoch i grecko-rzymska pedanteria z Niemiec tu się współubiegają ze sobą. Trudno orzec: czy się tu rozwinię styl oryginalny, ale to pewna, że upiększenia dokonane nie szpecą Wiednia, ani szablonowym charakterem, ani honorowym bezgustem. Miasto, wesołe i wygodne, rośnię, a z niem i ludność i liczba gości. Za 10 lat będzie Wiedeń najpiękniejszym miastem w Europie. (Nie dodał, że jest już najdroższym). Paryżanin znajduje tu przedewszystkiem dużo Paryża; są to siostry, nie rywalki. Przez Paryż płynie życie całego świata; Wiedeń ma narodowe właściwości. Paryż pociąga, Wiedeń przywiązuje; Paryż jest zachwycającym zajazdem; Wiedeń międzynarodowym muzeum. Jestto pałac familijny, który dla gości domowego swego trybu nie zmienia. (Tylko, że ten tryb nie jest domowym, ale knajpowym). W Paryżu czuje się każdy jak w domu, w Wiedniu zaś gościem w miłym domu. W Paryżu jest

więcej swobody, w Wiedniu więcej ciepłej gościnności (n. b. przez jeden tydzień kongressu — zresztą pojęcie to nieznanne). Wdzięk w nich jednaki, lecz w Wiedniu bardziej poufały. Paryż jest rozmaitszy; Wiedeń, mimo pstrej mieszaniny, bardziej jednolity. Pewna duma arystokratyczna idzie tu w parze z dobrodusnością; jest to dama XVIII w., ale hołdująca postępowi; zawsze jednak gotycki herb gdzieś sobie zawiesi. Wiedeńczyk jest wesoły, dobroduszny, no, i drwiący, jak Paryżanin — tylko, że nie w oczy, przyzwoitszy. W obcowaniu towarzyskiem braknie Wiedeńczykom jeszcze wiele francuskiej swobody — i mnożstwo tu jest tyrańskich szykan, n. p. *hausmeisterowie*, przymus wracania do domu przed 10 w. lub opłacania się. „Światło księżycy jest tu opodatkowane; za piękną noc trzeba płacić; poezja nocy uważana za niebezpieczną. W Paryżu wolno robić co się komu podoba, nawet po poręczy schodów zjeżdżać na grzbiecie pociemku“.

W Wiedniu wpadają w oczy liczne godła religijne po ulicach, i brak żebraków. Pobożność wieje tu z Włoch (w Wiedniu? zupełnie to nowe odkrycie). Sławę Wiedenek głosi cała Europa (n. b. która ludność przejeżdżną bierze za Wiedni). Są łagodne, marzące, a przecież „pieprzne“.

Zadziwiać musi udział ogółu w literackich zajęciach, zamiłowanie klasycznego repertoaru w teatrze, czegoby Paryżanin nie zniósł, a prztem lubowanie się w operetce, no, i w walcu.

Poznać w tych rysach szkołę Wiktora Hugo: tyle tu antytez i porównań i paradoxów. Rysy dosyć trafne (prócz tych, które mojemu nawiasami prostowałem), lecz poglądy pobieżny, dorywczy. Na inny czasu nie stało, a trzeba się było dobrze w pamięci zapisać. Nie wspomniano: o dziennikarstwie, stowarzyszeniach i klubach, o właściwościach życia, o giełdzie, o amalgamacie różnych narodowości, o zupełnym braku towarzyskości, o panowaniu knajpy, piwa i t. p. Starano się przypodobać i zabawić — i dopięto celu.

V. Zato odczyt *Ulba*cha o *Wiktorsie Hugo* był hymnem na cześć Francuzi. Mają bo czem się szczycić. Godnie stoją dziś w Europie obok siebie, tak różni, a tak niezmożeni i niewyczerpani, Hugo i Kraszewski. Więc posłuchajmy: Nie o dziełach, ich wartości i liczbie będzie mowa — te Wiedeń zna równie dobrze — ale człowieka, gwiazdę i sztandar, i swojego przyjaciela od lat 40, chce odmalować prelegent. Poznał on Wiktora Hugo, mając lat 20, jako kolega jego synów. Był on dla młodzieży objawieniem, zachwytem, dla mężów doradcą, natchnieniem, wzorem. Młodzież gorączkowała się dramata, czekała cały dzień przed teatrem, żeby zdobyć mejsce na przedstawienie *Ruy Blasa*. Gdy Ul. pierwszy raz zobaczył mistrza, dostał bicia serea na widok wspaniałej jego postaci. I dzisiaj, w poufałem nawet pozyciu cześć i podziw i nieśmiałość nie są mniejsze. „Czyliż naturalistyczne pokolenia pojną ten szal wiary literackiej?“ W r. 1840 był Ul. stałym gościem salonu na Place Royale. Salon cały obity i wysłany dywanami; wielki komin, obrazy. Tam z kąta patrzył zawsze Balzac; tam cała literatura, wymowa i polityka się przesuwawały. Drugie historyczne domowstwo jego było na wyspie Guernsey podczas wygnania, a trzecie, które teraz zajmuje. Mieszkanie odzwierciedlało całego człowieka, każdy szczegół to podziw dla oka, lub pokarm dla ducha, albo barwy dla fantazyi, a ogólne wrażenie to twórcza siła. Jest to temperament energiczny, wola niezłomna; kocha on siłę, bezmiar, głębokość, pełnię światła, barwy i rysunku — i warunków tych i zalet szuka zawsze z natury swojej bezwiednie. Umie on wstrząsać sercem i umysłem, umie i porwać i zaciążyć na duszy. Pismo jego lotne a zbite; polemizuje zadając ciosy obuchem, to wzrusza, to przeraża wesołością, jak Rabelais; liryzm jego to oszołomienie i uczoność, zawsze siła, która chce górować nad wdziękiem. Kiedy zdaje się być dzikiem, naraz promienieje i ulatuje jak bańka mydlana i z granitu wytryska kwiat. W życiu jest on zarówno uroczystym, jak miłym i przystępnym. Lubi bohaterów i robi z nich olbrzymów, ale lubi dzieci i robi z nich bohaterów: Gavroche, Valjean, Gwynplaine: to jednego ojca dzieci. Jeżeli nie rozbija czaszek przy ja-

kiej uroczystości *Niebelungów*, to płynie z chmurami Ossyana.

(Dokończenie nastąpi)

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

**Wielkie Bractwo**, komedia w 5 aktach, oryginalnie prozą napisana przez *Jana Alexandra hr. Fredry*, przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Rozmaitości dnia 1 Października. — **Miodowe miesiące**, komedia w 2 aktach, p. *Leona Madejskiego*. — **Panny na wydaniu**, komedia w 3 aktach, pp. *Barrière'a* i *V. Bernarda*, z francuskiego przełożył *H. Kremer*, przedstawiona w Teatrze Małym dnia 14 Października r. b. — **Złoty cielec**, komedia w 1 akcie p. *Stanisława Dobrzańskiego*.

Znowu regestr długi, ale pociecha krótka. Żadna z trzech sztuk oryginalnych, wymienionych w tytule, nie zasługuje na nazwę, którą wszystkie się okrywają; żadna z nich komedia nie jest; żadna nie posiada artystycznej wartości; żadna *szutki* naszej nie wzbogaciła, i najlepsza z nich, co najwięcej, może mieć tylko byt kinkietowy: może rozmieszać, dopóki się palą kinkiety; ale na później nic w umyśle, nic, nawet w tej jego komórce, którą natura na przyjmowanie wesołości, dowcipu i radości przeznaczyła, nie zostawia. *Wielkie bractwo*, lat temu już kilka przedstawione, *comme de raison*, w jednym z teatrzyków ogródkowych w Warszawie, zanim się na scenę główną dostało, nie należy do żadnego rodzaju sztuki; jest poprostu *sowizdrzalstwem* scenicznym, bez założenia, bez prawdy, bez charakterów, bez rzeczywistego komizmu. A jednakże to sowizdrzalstwo rozmiesza i niewybredna publiczność smakuje w niem sobie. Nie wszystko bo też w sztuce Fredry jest złem: owszem, znać tu i umysł wprawny, i pióro wypróbowane w komedii, i umiejętność dramatyzowania, i sam wreszcie pomysł zasadzki urządzonej przez wierne żony na mężów zazdrosnych, wcale na pogardę nie zasługuje: ale zawiązanie *Wielkiego Bractwa* jest wprost *facecyą*, która w nikim wiary nie wzbudzi i niktogo nie zabawi. Sama w sobie *facecy*a ta jest niezabawną, pospolitą, mdłą, a statut stowarzyszenia, recytowany przez p. Wipskiego, należy do rzędu najoklepańszych, jakie tylko być mogą, dowcipów.

Gdyby Fredro Syn, zamiast laścić się na prezarzarze, zjechał efekta ze świata „u wód“, poprzestał był na normalnej sferze mieszczkańskiej lub szlacheckiej, a raczej ziemiańskiej; gdyby, zmieniając tytuł, nadał mu był znaczenie mniej literalne w sztuce, i poprostu, bez zawiązywania niedorzecznego stowarzyszenia, które odrazu czyni sztukę farsą, za *Wielkie Bractwo* uznał był owych mężów, z których każdy przypomina kocioł, co garnkowi przygania, i to bez racyi przygania, a sam zawsze smoli; gdyby nam zamiast baniek mydlanych dał był jakotako zesrodkowane i zcalone osobistości: mielibyśmy mu do zawdzięczenia komedię, prawowiciej na nazwę tę zasługującą, niż obecne, ni-to-ni-owo, — komedię, choć może mniej rozmieszająca paradyz, ale lepiej bawiła *parterre*, ową idealną już dzisiaj krainę rzeczywistości estetycznych wrażeń i sądów, na której jednym zdaniu, jednym uśmiechu, jednym drgnięciem, przecież więcej każdemu autorowi zależeć powinno, niż na huk i wrzasku sfer górnych teatru. A te efekta chorobowe, które się same tłumnie cisną u wszelkich wód, a nad paradyzem posiadają zawsze nieograniczoną władzę! — czyż godziło się wprowadzać je do sztuki pięcio-aktowej, jako jedną z części składowych i niezbędnych? Stary Fredro starym tylko pozwał na scenie niedomagać; młody za jego przykładem ukazał nam takiego chorego w *Consilium facultatis* — i było to dobre; ale pan Nolski Adolf w *Wielkim Bractwie*, słusznie może mieć żal do autora, iż go z zinnymi okładami przez pięć aktów przeprowadza — jego, najlepszego w całej sztuce, jedyny charakter w komedii. O tem bowiem i sam Fredro Syn nie wątpi, że wszystkie jego żony i wszyscy mężowie w *Bractwie* są tylko bańkami mydlanymi, pozbawionymi wszelkiej prawdziwości i prawdopodobieństwa życiowego. Powiedzmy szczerze: autorowi chodziło tylko o wytworzenie jaknajwiększej liczby słów i położeń



śmiesznych i cel ten osiągnął. Ależ celu rozśmieszenia dopiąć można i środkami poza sztuką leżącymi! Cała komedia jest *zrobiona*, nie *wytworzona*; ani w niej rozumu, ani satyry, ani poezji; jest to sobie pohulanka pióra, jak powiedzieliśmy, sowizdrzalstwo, — nie więcej.

Przyznajemy wszakże, iż sztuka Fredry Młodsze- go jako sowizdrzalstwo jest dość dobrze napisaną: układ sceniczny w niej zręczny; dyalog prawie nawskroś potoczny, ożywiony, miejscami prawdziwie, szczerze dowcipny; ruch wszędzie wiele. Wogóle, sztuka Fredry Młodsze- go, ubogie w malowidła i rzeźby, zalecają się ożywieniem, ruchliwością, dramatycznością, powierzchowną wprawdzie, ale istotną; brak w nich często, bardzo często, charakterów, ale niebrak prawie nigdy zajęcia. Autor ma temperament dramatyczny: czuje, że w dramacie żadna postać nie powinna być nieruchomą, choćby najpiękniej wyrzeźbioną, posągiem, i umie wiązać, w ruch puszczać, wir dramatyczny wytwarzać. Szkoda tylko, że trzyma się często błahych pomysłów; że architektem naczelnym jego sztuk nie jest ów rozum artystyczny, cierpliwy a głęboki, który nam bezpośrednio wewnątrz człowieka przed oczyma stawia; że nakoniec ambicyja twórcza autora zanadto się uganiania za humorem, a zamało ceni sobie to, co dla Fredry Starego było samą istotą komedii: satyrę. W wieku, w jakim się dziś znajduje p. Jan Alexander Fredro, o przetwarzaniu się talentu mówić nie można; ale kto wie, czy autor *Drzemki Pana Prospera* potrzebowałby się przetwarzać, aby mógł zamiast krotocwil pisać prawdziwe komedye?

Wiele kunsztu ściśle dramaturgicznego okazał Fredro w rozwiązaniu *Wielkiego Bractwa*. Sprowadzić trzech mężów i czwartą jeszcze ofiarę do Schmolsa, wprowadzić ich w oczach widza, i nie tylko nie zerwać siatki zarzuconej przez żony, ale jeszcze bardziej intrygę naprężyć: dowód to rzeczywistego daru i umiejętności, jakich dramat dla siebie wymaga. Chciał tu już Fredro wyraźnie pokazać, co umie; w obecnym bowiem wypadku można było znaleźć rozwiązanie daleko prostsze, mniej splecione i prędzej doprowadzające do celu.

Sztuki na pierwszym przedstawieniu nie grano dobrze; z początku było zawile powolności, w końcu znowu zbytne rozigranie się. Mężczyźni wogóle lepiej grali niż kobiety, które wiele jeszcze w grze swojej poprawić muszą. Lulewicz nie wydaje się nam odpowiednim dla p. Rapackiego. P. Szymanowski jako Nolski zasłużone zbierał oklaski; dostało mu się od wszechwładnego paradyżu gorące uznanie nawet za samo wejście na scenę. — co już było nad zasługę. Paradyż mógłby uczucia i objawy takie zachowywać dla samego tylko Żółkowskiego. Gdy pomyślimy o wystawie, stają nam w pamięci liche bardzo Ruiny.

P. Madejski, nowy dramatopisarz, chciał najpierw napisać sztukę, a potem w tej sztuce pokazać, jak łatwo *Miodowe miesiące* pofunowemi stać się mogą. To chciał, ale ponieważ p. Madejski nie jest poetą, uważał zatem, że powinien być satyrykiem i w *Miodowe miesiące* p. p. Winowskich wplótł skandaliczną historią Heliadora i Zofii, a dla tej Zofii tak już nie żałował sadzy i błota, że nawet dzisiejsza szkoła realizmu, a właściwie *gminności*, we Francji niejednego rysu pozazdrościć-by mu mogła. Gdzie p. Madejski, niebędący poetą, nietworzący z siebie, ale z otoczenia swego i przenoszący tylko żywem to, co widzi do przed- sionka sztuki, widział u nas taką *Society*, jaką w swym utworze przedstawił? dla nas jestto prawdziwą zagadką. Fakt jakiś pojedynczy, odosobniony, niezwykły, jeśli jest tylko zwyczajnym wypadkiem obyczajowym, nie zasługuje na od- twarzanie w sztuce; komedia potrzebuje *obyczajów przeciętnych*, potrzebuje takiego zwierciadła, w któ- remby każdy mógł się przejrzeć, nie zaś takiej zakopanej szyby, która ani oku nie miłego nie pokaże, ani umysłowi nie pożytecznego nie da. Jedno z dwojga: albo pani Marya Winowska jest cięt- kiem, którego niewarto było wyprowadzać na scenę, alboważ przyjaźń jej z Zofią jest niemoż- ną. Pomysł *Miodowych miesięcy* dałby się opra- cować tylko piórem poetycznym; a ponieważ nie każdy je ma na swem biurku, może więc p. Ma-

dejski powiedzieć o sobie: *Operam et oleum per- didi*. Pierwszego aktu, pomimo jednostajnie po- wtarzających się wybuchów nadąsania i miłości no- wożeńców, pomimo wewnętrznej czczości obojga państwa Winowskich, słucha się jeszcze jako tak- ko; ale drugi — to już prawdziwa nieudolność. Z całej sztuki najlepszą jest para służących: spie- rających się o atrybucyę swoje, przechodzących od sporu do zgody i od zgody do małżeństwa.

*Miodowe miesiące* grano w Teatrze Nowym wcale nieźle. Pan Grubiński, panna Wiśnowska (Wi- nowscy) i p. Waliszewski (Heliodor) zasłużyli na wyszczególnienie.

„Zaćmienie rozumu!“ — zawołaliśmy, wychodząc z przedstawienia *Panien na wydaniu* (*Les demoiselles de Montfermeil*). Istotnie: słońce głupstwa przy- świecać musiało pp. Barrière i V. Bernard, kiedy swoją „komedyą“ 3-aktową przyrządzali. Jestto poprostu heca, dobra tylko do bud jarmarcznych; a choć Teatryku Małego przy ulicy Daniłowi- czowskiej nie uważamy bynajmniej za świątynią sztuki, nie chcemy jednak, aby był miejscem po- spolitych pajacowskich popisów. Co mogło prze- mawiać za tą lichotą, pełną nienaturalnych powik- klań, płaskich conceptów, czczych figur, niema- jącą ani jednego charakteru, ani jednej prawdzi- wej osobistości, ani zdźbła istotnego komizmu; za tą sztuką, w której autorowie drwią sobie z publi- czności, postanowiwszy ją zabawić i nadużywają własnego stanowiska i godności literackiej, pisząc piórem to, co-by mogli doskonale wyrazić nogami i rękami, jak w każdej szczerzej hecy być powinno? Ten wzgląd, że Palas-royal lub Variété bawi się dobrze na tej „komedii“ — nikogo i z niczego rozgrzeszyć nie może. Francuzi bawią się włas- nemi swemi obyczajami i dlatego tylko się ba- wiają, żeż widzą samych siebie, a raczej podobne do samych siebie figury z szopki, w tę i ową stro- nę pociągane, poruszane, kierowane ręką autorów stojących ciągle poza niemi; ale dla nas jaką to wszystko wartość mieć może? Kto u nas w te *Panny na wydaniu* uwierzy, kto się niemi zajmie, komu się choć jedna postać z nich podoba, kto prawdziwie ubawi się tem, co za głupstwo nie- prawdopodobne uważa — a choćby się i ubawił, czy to może być zasługą, zaletą sztuki? Wszak na świecie bawić się można wielu rzeczami żadnego ze sztuką niemającymi związku. To, że się publiczność *bawiła* na sztuce, nie dowodzi bynaj- mniej, że sztuka jest dobrą: potrzeba wprawdzie wiedzieć jakiego-to rodzaju była publiczność i jakiego rodzaju zabawa. Jeżeli zabawą był śmiech pusty, bezmyślny, bez uczucia zadowolenia, bez objawu harmonii, umysłowej, bez jakiegokolwiek obrazu rysującego się powabnie w imaginacy; jeżeli się bawiłem tak w teatrze, jak bawiłem się, dzieckiem będąc, na przedstawieniach Gecla lub innego kuglarza; to mogę sobie powiedzieć, że był nie w teatrze, ale raczej w cyrku czy w hecy.

W takimsamym rodzaju jak *Panny na wydaniu* jest trzyaktowy *Proces Veauradieux*, wyrób rów- nież francuzki, firmy Delacour et Hennequin. Ta wielce głupiuteńka, znacznie mniej od *Panien na wydaniu* przyzwoita, przez obyczajowy swój koloryt wstrętna nawet, „komedia“, była łabęd- zim śpiewem Teatru Nowego w roku bieżącym. Do dwóch wspomnianych już lichot przyłączyła się trzecia: *Pomyłka*, wyższa nad dwie inne tem, że jest jednoaktową. Wszystkie te „komedye“ przed- stawiają, zarówno w akcyj jak w dyalogach, takie stosunki obyczajowe, jakie u nas wyjątkowo tylko panują w życiu, a da Bóg nieprędko jeszcze za- panują na scenie: z całą nagością występuje w nich pół-i ćwierć-światek, będący już niezbędnym czyn- nikiem życia we Francji. Robi się tam wszystko z całym cynizmem na scenie i w życiu.

Wszystkie te sowizdrzalstwa francuzkie mają u nas jeszcze tę jedną wspólność: że są złe grane. To złe jest narazie *dobrem*. bo dobre byłoby złem. Artyści nie powinni wzwyczać się w sztuki li- che, ujmę tylko *sztuce* przynoszące, mogliby bo- wiem stać się niezdolnymi do sztuk dobrych. Nie- raześmy już widzieli i na tem miejscu wytykali szkodliwy wpływ złych sztuk na dobrych akto- rów. „Powiedz mi z kim żyjesz, powiem ci, jakim jesteś“. Artysta, który żyje ze sztukami lichemi, musi artyzm swój na szwank narazić; wolimy przeto, że artyści głównej naszej sceny zbywają

*Processy, Panny i Pomyłki* rzemiosłowem czysto obrobieniem, serca im swego nie dając.

*Złoty cielec*, temat to zawsze żywy w naszym wie- ku, temat wystarczający, nie na jeden, ale na wie- le aktów; ale na to, żeby mógł być prawdziwie dramatycznie, bez komunalów i konwencyonal- nych oklepanek, przedstawionym, potrzeba talentu większego niż zmarły niedawno (w r. b.) Stani- sław Dobrzański ze Lwowa. Nieboszczyk nie ku- sił się o rzeczy wielkie: poprzestał na jednym akcie, i dobrze zrobił; czujemy po tym jednym akcie, że gdyby ich było więcej, nie przyniosłyby talentowi zaszczytu. Obrazek Dobrzańskiego, grubym ma- lowany pędzlem, nie jest oczywiście dziełem sztuki, ale znajdziesz w nim, i trafne spostrzeżenia, i gryzącą satyrę na materyalizm praktyczny ży- dów, w tym razie, wiedeńskich, i nawet dowcip, głównie w podchwytanych słówkach. Autor, wolny od nienawiści rasowej, nie waha się rzucić dodatniego promienia światła, jakim odbija od Rosenblatta i Goldensternów, *père et fils*, kochają- ca się para Emmy Rosenblatówny i Ludwika Ra- wicza. Choć nam się autor śmiać każe, a nawet niekiedy do śmiechu nas zniewala, to jednak wi- dok Goldensternów ostatecznie wstręt tylko i niesmak w nas zostawia. Są to dwaj kajdaniarze, a wszystkie ich concepta, cała śmieszność, jaką ich okrywają anormalne do otoczenia stosunki, nie starczą na pokrycie konstytucyjnej wzgardy ku spodlonym i, niekomicznym już, ale raczej kryminalnym, naturom. Pomysł zasadniczy czci *Złotego cielca*, niknie zupełnie pod zalewem uczuć etycznych, jakie obudza widok dwóch łotrów: po- wiedzielibyśmy nieledwie, że charaktercy obu Gol- densternów obracają się już poza granicami sztuki, i sztuka niewiele z nich wydostać może. Stało się to skutkiem grubości pędzla użytego do ma- lowidła: autor z większym artyzmem byłby umiał tych niegodziwców znośnymi w sztuce uczynić. Wcale dobrym, energicznym, rozsądnym, silnie kochającym i silnie do celu swego dążącym, jest charakter, nawet w ściślejszym znaczeniu chara- ktery, Emmy. Dla tej jednej postaci cały utwór może się utrzymać na scenie. *nota bene*, jeżeli wy- konania roli podejmie się dobra jaka artystka.

Stanisław Krzemiński.

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Październiku 1880 r.

Nie wesoło list mój zaczynam. Przytłoczeni koniecznością walki o byt do gleby, która nam się spod nóg usuwa, wrastamy poniekąd w ziemię potem naszego codziennego znoju użyzioną, i w tem dorabianiu się powszedniego chleba, mimo woli i wiedzy stajemy się materyalistami, którym ni czasu, ni swobody myśli nie starczy, aby i ducha karmić i umysł napoić. Wielu zapomina zupeł- nie, iż nie samym tylko chlebem żyje człowiek; wdrażają się w jarzmo gospodarskich trosk i tru- dów, stopniowo przestają czytać, a następnie i my- śleć. Wynika ztąd coraz widoczniejsze obniżanie się duchowego poziomu, zupełna obojętność na ruch literacki, pewne uspienie moralne, przy którym z pe- wnością, mimo najpilniejszych zachodów na wła- snym zagonie, nie dźwigniemy się z materyalnego upadku. Budzące głosy zewsząd się podnoszą; niektóre zbyt gorzkie i niesłuszne, ciskają nam w oczy zarzuty; inne, łagodniejsze, lecz smutniej- sze, wymowniej przemówiły i trafiły do serc po- winny. I tak np. słyszeliśmy jak zasłużony nasz wydawca J. K. Żupański, pytany o nowe jego nakłady, ze zniechęceniem odpowiadał, że traci już ochotę do dalszych zachodów w kraju, gdzie nie tylko książek prawie już nie kupują, ale nawet gdzie nie czytają ich zgoła. Pamięta on bliską epo- kę, gdy każde nowe wydawnictwo stanowiło główny wypadek dnia lub tygodnia, gdy rozrywano sobie świeże plody ducha polskiego: a dziś patrzeć mu- si na, zalegające półki jego księgarni, cenne publi- kacye, na które złożył sam niemałe ofiary, a o które dziś nikt nie pyta. Księstwo nasze za-



pada znów w stan tego moralnego zgnuszenia, które mu niedługo miano polskiej Beocy nadawało. Jak dawniej szlachcic wiejski zadawała się czytaniem jednego tylko kalendara, tak pośród nas wielu bywa obywateli, którym całkiem wystarcza codzienne przewertowanie gazety z zaniechaniem wszelkiego innego czytania.

Niebezpieczny wpływ prasy peryodycznej, odzwyczajającej od zastanawiania się i dłuższej uwagi, ciąży nad całym społeczeństwem poznańskim. Stosunkowo świat niewieści więcej czyta od mężczyzn naszych: może zatem na kolanach macierzyńskich rosnące dziś pokolenie nabierze większego do książek pociągu.

Tymczasem, zniechęcony w słowach, nigdy w czynie, znakomity nasz wydawca nie ustaje w poświęceniu i skrzętności. Znowu większa publikacja pamiętnikowa, w sześciu tomach, opowie nam salonowe i społeczne życie kilku ostatnich pokoleń w Polsce. Pan Falkowski z własnej pamięci i bogatego materiału archiwalnego kilku znaczących domów wysnuwa obrazy, naprzemiennie historyczne lub rodzinne, pełne werwy, kolorytu, jaskrawości i życia. Listy, zapiski, dzienniczki i raptularze, umiejętnie zużytkowane, składają się na całość powabną. Pierwsze tomy obiegają już koła czytające z nie małym powodzeniem. Teraz ukaże się dział nowy, po części osnuty na wspomnieniach kasztelana Leona Dembowskiego. Jakby dla podrażnienia ciekawości publicznej, kilka ułamków z pracy pana Falkowskiego ukazało się już w jednym z czasopism galicyjskich i dwóch warszawskich, nęcąc anegdotyczną historią salonów i towarzystwa warszawskiego z lat 1800/9 r. Zasmucił nas w jednym z tych ułamków niezawsze słuszny sąd o rodzinie, która dawne, wobec kraju popełnione, grzechy sowiec okupiła poświęceniem i ofiarnością późniejszych pokoleń. Sama nawet piękna postać niezastąpionego mecenasa naszej dzielnicy, ś. p. Edwarda hr. Raczyńskiego, w ponurem tu oddana światło: większy nacisk położony na jego melancholii aniżeli na zasługach; o małżonce zaś jego, jednej z najznakomitszych osób naszej epoki, autor znalazł tyle tylko do powiedzenia, iż była otyłą, kulawą i starszą o dziesięć lat od swego drugiego męża; nie wzmiankował nic, ani o nadzwyczajnym rozumie tej pani, najznakomitszej z całego licznego potomstwa Szczęsnego Potockiego, ani o jej tryskającym w rozmowie dowcipie, który salon jej poznański pasował na pierwszorzędną ognisko towarzyskie, ani wreszcie o jej czynnym udziałzie w pracach i zabiegach tak zanego małżonka, któremu służyła sercem, pędzłem, ołówkiem i piórem. Pamięć owej szlachetnej damy utrzymała się tak świeżą i szanowaną w naszej społeczności, iż ztąd pochopniejsi jesteśmy do kruszenia kopii w obronie tej, która, jako Janowa Potocka, dzierżyła berło rozumu w Warszawie, a następnie, jako Edwardowa Raczyńska, umysłem i sercem zarówno, królowała nad ówczesnym towarzystwem wielkopolskiem.

Z przyjemnością dowiadujemy się, iż jeden ze starszych naszych obywateli postanowił nakreślić z pamięci własnej i pamiętników prywatnych podobne obrazy życia społecznego w Poznańskim, wspomnienia znikniętych salonów i górujących w nich postaci. Śliczny to pomysł, godzien zachęty i poklasku, zwłaszcza w obecnych stosunkach, kiedy wygasły dawne ogniska, i chyba rozniecone z popiołów iskry potrafią rzucić nowe światło, rozbudzić nowe ciepło, którego nam tak potrzeba.

W parze z obojętnością dla ruchu literackiego, w parze z oziębłością dla umysłowego życia, idzie zawsze podobna obojętność dla sztuki. Dowodów niedaleko tu szukać. Mało kto u nas dotąd poznał skarby zebrane, i poczęści już ułożone, w Muzeum Tow. Przyj. Nauk. Przejedni i podroźni częściej do tych pukają podwoi; mieszkańcy naszej dzielnicy nie znają prawie zbiorów, z których tak słusznie chełpić-by się mogli. A co przykrzejsza, reklama obcego nazwiska, świeżej sławy wiedeńskiej czy berlińskiej, przyciąga nierównie silniej ciekawych, aniżeli rzetelnej wartości pamiętki i arcydzieła. Zpóźród tych, którzy podziwiali gorszące w Poznaniu *Zmysły* Makarta, świeżone, jaskrawe, cielesne i realistyczne płody nowo-

czesnego pędzla, mało kto zapewne zwiedził galerię obrazów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie tyle rozkoszy dla oka i duszy, zwłaszcza w szeregu przepysznych portretów, odtwarzających nam przeszłość. Oczywiście, niema prawa bez wyjątków i godzi się spod ogólnych zarzutów pojedyncze wyróżnić domy, rodziny lub osobistości. Tam nie tylko dawne zabytki są szanowane i miłowane, ale i dla nowej sztuki nie braknie interresu; do wzorów mistrzów i zbiorów ojców, przybawają świeższe dzieła szkoły społecznej. I tak np. goszczący od czasu do czasu w Oporowie u hr. Kwileckich, p. Marceli Krajewski, zostawia w naszej prowincji i w domach swych przyjaciół ślady rozwijającego się jeszcze nieustannie talentu. Portrety jego pędzla wiele mają uroku, stwierdzając, prócz podobieństwa, wyraźny a dodatni pociąg do idealizowania. Zpóźród ostatnich dzieł pędzla p. Krajewskiego, wspomniemy pośmiertny portret, zmarłego w kwiecie wieku, przed rokiem, hr. Władysława Kwileckiego, pięknego młodziana, rokującego świetne nadzieje, w przedwczesnym zagasie grobie. Dalej p. Krajewski przywiózł z sobą z Rzymu, gdzie ostatnie przepędzał lata, niemało pięknych szkiców i studyów, dalej wyborne kopie arcydzieł dawnych mistrzów, między innymi Madonny Rafaela zwanej *del gran Duca*, nareszcie piękny portret Rektora Seminarium Polskiego w Rzymie, Ojca Stefana Pawlickiego, znanego autora wielu rozpraw filozoficznych. Portret ten ukaże się może na wystawie berlińskiej.

Do dawnych zbiorów Rogalińskich przybawają coraz-to nowe skarby. Pałac, mieszczący w sobie tyle zabytków sztuki włoskiej, stopniowo posiadzie osobną galerię dzisiejszych mistrzów polskich. Znajdują się tu już obrazy Ajdukiewicza, Krudowskiego, Maleckiego, Kochanowskiego, Kotsisa, Brodowskiego, Jasińskiego i t. d.; portrety Rodakowskiego i Kaplińskiego, a niebawem przybędzie i piękny portret dzisiejszego właściciela, pędzla Horowitza. Sąsiedni Kórnik hrabiów Działyńskich znalazł już opiekuna dla swych pamiętek i skarbów w osobie młodego hr. Zamojskiego, który, objawwszy spadek po wuju, uważa się szlachetnie za szafarza dziedzictwa złożonego w jego ręce ku utrwaleniu domowej tradycji ofiarności i gorliwej służby publicznej. Ślicznie, świetnie i serdecznie witano i przyjmowano nowego właściciela przed kilkoma tygodniami, w obejmowanych przez niego włościach. Sędziwa babka sama go wprowadziła na zamek osierocony bezpotomnym zgonem ostatniego z Kościeleckich-Działyńskich, wśród okrzyków, wystrzałów armatnich i przy rześmistem oświetleniu całego miasta. Poważne tło zamku gotyckiego, tłum różnorodny a życzliwy, wspaniałe grono rodzinne z historycznymi nazwiskami: wszystko to złożyło się w osobne wrażenie: karty wyrwanej z przeszłości, średniowiecznego niemal obrazu. W owych czasach rycerskich istniały dawne węzły społeczne, które się dziś tak powszechnie i smutno rozrywają.

*Kuryer Poznański* drukuje obecnie powieść oryginalną pod tytułem: *Wet za wet*, która potrąca o wszystkie niemal sporne kwestye chwili obecnej. Znać w autorze i znajomość zawikłań, i stosunków teraźniejszych, i głębokie zastanowienie, i poważne zapatrywanie się na świat i ludzi. *Dziennik Poznański* daje w odcinku tłumaczenie *Siostr Ebersa*.

W tej chwili agitacja wyborcza zapelnia lamy gazet i ożywia umysły wszystkich naszych obywateli. Kandydaci już postawieni; zarekrutowano nieco młodych sił do tego ciernistego poselskiego zawodu; wybory same już za pasem, bo w d. 27 bieżącego miesiąca. Tymczasem polityka nie odrywa rolników od zagonu, i wybieranie jesiennego warzywa nierównie większą dotąd troską od głosowania powszechnego. Wbrow ogólnym narzekaniem i wróżbom nieurodzaju zbory tegoroczne przeszły oczekiwania; żniwa były łatwe i pogodne, czas siewny pomyślny: jest więc obfitość ziarna w bardzo plennych kłosach. Mnogość ziemniaków, świetny stan plantacji buraków cukrowych, dodają otuchy właścicielom ziemskim. Ruch fabryczny się wzmacnia, a uderza praktycznością w zastosowaniu. Przy każdej nowo-powstającej cukro-

wni rolnicy znajdują do nabycia wszystkie narzędzia kultury buraczej, potrzebne wskazówki, nasiona i właściwe informacje. A tymczasem plugi parowe w najlepsze uwijają się po Piastowskiej Ziemi, zpod głęboko wyoranych skib budząc nieraz popioły tych, co niedługo sochą uprawiali swe dziedziny.

## ADOLF ERYK NORDENSKJÖLD

### I ODKRYCIE PÓŁN.-WSCHODNIEJ DROGI PODBIEGUNOWEJ

według prof. J. Gerlanda w Strasbourgu.

(Dokończenie)

Ważność sprostowania północnych granic naszego lądu ukaże nam się w całej pełni, skoro zastanowimy się nad znaczeniem biegunowej granicy starego świata w ogóle. Prawo powstawania i formacji lądów stałych należy dotąd do najtrudniejszych zagadnień ziemioznawstwa, czy nazwiemy je geologią, czy geografją. Planeta nasza wykazuje w ukształtowaniu swoim tę oryginalność, iż lądy ku południowi zwężają się i zaostrzają, ku północy zaś rozszerzają. Obiedwie przytem masy lądowe: Europa-Azja z jednej, Ameryka z drugiej strony, rozwijają się w sposób tak jednolity, iż zmuszeni jesteśmy przypuścić istnienie pewnych niezbadanych jeszcze, ogólnych praw formacji. Tak n. p. półwysep Kola ma skład zupełnie analogiczny, z wyspą Tajmir; Kanin powtarza wiernie swe kształty w półwyspie Preobrażeńskim. Równie zdumiewającym jest fakt, że w Azji północnej wszystkie wyspy i półwyspy otwierają się ku wschodowi; przeciwnie zaś w Ameryce nachyla się wszystko w kierunku zachodnim. Najbujniej rozczłonkowanym, najobficiej w wyspy ubranym jest wybrzeże wschodnie Ameryki Północnej; na zachodzie, jest ono łyse i jednostajne; lysą i jednostajną jest Azja na wschodzie, a ubiera się w coraz bogatsze kształty ku zachodowi. To bogactwo wysp, stanowiących jakoby przedmurze stałego lądu, należy do charakterystycznych właściwości podbiegunowych formacji. Labirynt wysp Północnej Ameryki został już oddawna zbadany; wyspoziory azjatyckie poraz pierwszy poddał wyczerpującej obserwacji uczony Szwed.

„Kiedy powłoka lodowa, pokrywająca zimą wybrzeża syberyjskie, — pisze Nordenskjöld, — stopnieje latem, wiatry południowe mogą wpuścić ją w morze, nie tak daleko wszakże, aby za powrotem po kilku dniach wiatru północnego nie zawróciła się znów na południe. Taką zapewne genezę ma istnienie całego szeregu wysp dzielących ląd syberyjski od morza biegunowego, z których dotychczas znamy tylko Ziemię Wrangla i Nową Syberję“. Do tego archipelagu wysp podbiegunowych policzylibyśmy także ziemię Franciszka Józefa; jakież wyspy znajdować się muszą pomiędzy grupą nowosyberyjską a Wyspą Wrangla. Tu należy przypomnieć raz jeszcze krainę położoną na północ od półwyspu Czukeczów, dokąd zapewne, jak to obserwował Nordenskjöld, podążały gromady ptactwa. Być może, iż łączy się ona z Ziemią Wrangla.

Właściwości znanych nam dotychczas wysp arktycznych są wielce oryginalne i jednozgodne. Wspomnieliśmy już o powtarzającym się przecięciu ich wązkiemi smugami sundów; widzieliśmy to zjawisko w Nowej Ziemi i na wyspie Tajmir; pokrewne formy ich dostrzegamy w wyspoziory Spitzbergu, w Ziemi Franciszka Józefa, oraz na wschodnim wybrzeżu Ziemi Wrangla.

Niemniej doniosłemi są spostrzeżenia geologiczne, jakie poczynił Nordenskjöld i jego towarzysze, jakkolwiek z natury gruntu nie mogły one być licznemi. Dowiadujemy się, że okolice przyładka Czeluskin złożone są z pokładów łupkowych; że na wschód od zatoki Czauun leżą pokłady piasku i gliny, które widocznie w bardzo niedawnych czasach podniesionemi zostały nad mo-



rze, nie spotykamy bowiem na nich głazów erraticznych znajdujących tak gęsto na północy Europy i Azji. U przylądka i przystani Irkaipi napotkała wyprawa w sporej liczbie kamienie wulkaniczne, które pod wpływem zimna i nagłych zmian powietrznych rozpadły się w czworograniaste bloki, takie same zjawisko, jakie wskutek wpływów gorąca i promieniowania obserwował Wetzstein na polach lawą pokrytych w Hauran. Wielce zajmującym jest objaśnienie, które Nordenskjöld daje o mikroskopijnie drobnicznych kryształkach, jakie, poszukując pyłku kosmicznego, odkrył około wyspy Tajmir wśród lodu. Sądzi on, że są to kryształki nieznanego dotąd w nauce minerału, który wytwarza się z wody na dnie morskiem pod wpływem panującego tam zimna. Byłby to pierwszy naturalny ślad przechodzenia wody w stan krystaliczny stały.

Inne hydrologiczne badania Nordenskjölda odnoszą się głównie do charakterystyki głębin morskich. Cochwila w podróży spotykano mielizny, co zdaje się dowodzić, że w ogóle morza biegunowe są płytkie. Stwierdzenie, że u obu biegunów łożyska morskie podnoszą się w górę, byłoby plonem niezmiernie ważnym dla nauki. Pominąć tu musimy inne hydrologiczne wyniki studyów Nordenskjölda w tym kierunku: jako badania zawartości soli w lodowcach, kierunku prądu morskiego, dalej spostrzeżenia meteorologiczne, tudzież obserwacje zorzy północnej i magnetyzmu, gdyż wyniki takowych nie zostały dotąd w należytej formie umiejętną ujęte. Do najważniejszych pod względem praktycznym należy zbadanie masy i siły lodu w morzach biegunowych. Wiadomo, jaki stan rzeczy Nordenskjöld zastał: cieśniny Jugor i Karyjska, bez przystani, skazane na kaprysy lodu, który je każdej chwili zamykał; cieśnina Matoczkińska, dostępna dla żeglugi dopiero od ostatnich dni Sierpnia. W r. 1875 wybrał Nordenskjöld cieśninę Jugor do przedostania się na Morze Karyjskie. Była ona w południowej swej części, pomimo silnych wiatrów północnych, które dłuższy czas wiały, zupełnie wolną od lodu; dopiero za cieśniną, pod 75° 55' półn. szer. przejście było zamknięte; dnia 15 Sierpnia jednak zawitano już do Portu Dicksona. — Twarszą była walka z lodem w r. 1876, w którym-to roku Nordenskjöld postanowił dostać się na Morze Karyjskie Cieśniną Matoczkińską: i tym razem jednak powiodło mu się w tymże samym dniu, 15 Sierpnia, dotrzeć do Portu Dicksona, przyczem odkrył po drodze wyspę Sybiryakowa. Powrót do Tromsø (od 2 — 22 Września) był również pomyslnym. W tymże samym roku podjęto parę innych wypraw, równie szczęśliwych, przez Morze Karyjskie. Stosunki lodowe w r. 1878 kreśli Nordenskjöld w następujących słowach: „Pomiędzy Norwegią i Jugorem niema lodu; między Jugorem i Jenisejem (31 Lip. do 6 Sierp.) lód nieznaczny; między Jenisejem i Wyspami Niedźwiedziemi (3 Wrz.), wzdłuż brzegów, niema prawie lodu; na wschód od Wysp Niedźwiedzi, lód stawał się coraz grubszym, dopóki nie uwieźli naszego okrętu (27 Wrz.). To przymarznięcie, tuż u samego kresu podróży, było tem dziwniejszem, iż miałem powody do mniemania, że najtrudniejsze przeszkody przebyliśmy już u ujść Leny. Jeszcze przed wyruszeniem wyprawy przewidywałem, że trudności rozpoczną się na wschód od Kołymy, tu bowiem niewiele rzek wpływa do morza, nie da się liczyć przeto na ciepły prąd przybrzeżny, który pod koniec lata uwalniać zwykł od lodu powierzchnię morską. Obawy moje sprawdziły się, niestety, aż nadto“.

To przedstawienie stosunku mas lodowych na Morzu Karyjskiem i morzu syberyjskiem ma niepoślednią wagę w nauce. Wytwarzanie się, unieruchomienie i znikanie, przypływ i odpływ lodu, zależy przecież od meteorologicznych stosunków okolicy, tudzież od ukształtowania lądu i morza: to też badanie mas lodowych popchnęło głównie Nordenskjölda do hipotezy istnienia na północy nieznanych jeszcze a rozległych mas lądowych.

Obfity materiał etnologiczny, którego dostarczyła wyprawa, posiada zarazem niemałą doniosłość praktyczną, a zwłaszcza dla nawiązania stosunków z ludnością zwiedzonych krain Samojedów i Czukczów, dla handlu z nimi. Nor-

denskjöld wymienia szczegółowo: jakie artykuły handlu miałyby największy obdyt u Czukczów — jak również dla oceny i zużytkowania w celach kultury tamtejszych plemion, które w rozwoju dróg handlowych północno-azyatyckich niepoślednią odegrać mogą rolę. Dla etnologa wielce pouczającymi są w ogóle wskazówki, jakie Nordenskjöld i towarzysze jego podają o naturze i uzdolnieniu między Czukczami azyatyckimi, czyli domorosłymi, a przybyłymi cieśniną Behringa z Ameryki, plemionami zwanymi „Namollo“.

Porucznik Nordquist [skorzystał z przymarznięcia „Vegi“, które zmusiło ją do przezimowania w tych okolicach, i podjął gruntowne studia lingwistyczne pomiędzy Czukczami; potworzył spisy słów i zbadał gramatykę; ogłosi on zapewne niebawem owoce swoich badań, które położył podwalinę pod budowę znawstwa etnologicznego tych okolic. Również w zakresie zdobyczy dla zoologii i botaniki oczekiwać należy prac specjalistów, towarzyszących Nordenskjöldowi, zanim dokładnie korzyści wyprawy w tej mierze określić będziemy mogli. Praktycznie zdobycze tej ostatniej natury nie będą mogły zaważyć wiele, ponieważ na lądzie stałym napotkano wielkie ubóstwo pod względem roślin i zwierząt, w morzu zaś brak większych ssących. Jeżeli znane gatunki nie dostarczyły ciekawego przedmiotu badań, to niezmiernem natomiast wzbogaceniem dla zoologii będzie dokonane odkrycie wielu nowych gatunków, zwłaszcza niższej hierarchii zwierzęcej; dla botaniki przybędą tylko nowe mchy i porosty. Główną zdobycz osiąga wszakże i w tym kierunku geografia, a mianowicie ta jej gałąź, którą nazywamy geografją organizmów. Pod tym względem zdumiewa bogactwo form organicznych napotkanych w Morzu Biegunowym, jak przekonał o tem plon zarzuconych z okrętu sieci, tudzież rozkład grup pojedynczych a przedewszystkiem stosunek form zwierzęcych morza Karyjsko-Syberyjskiego do zawartości organicznej innych części Morza Biegunowego, następnie zaś do Oceanu Atlantyckiego i Oceanu Spokojnego. Badania, które w tymże samym kierunku porucznik Bove zamierzył podjąć około Bieguna Południowego, zamkną pierścien zbadanych pod ziemią nowym względem krajów. Czy z podziału i rozwoju organizmów dadzą się wyciągnąć wnioski o geologicznym składzie kotliny, stanowiącej dno morza biegunowych, a może nawet o ukształtowaniu biegunu; o tem dziś jeszcze byłoby przedwczesnem wyrokować. Podobną doniosłość dla poznania stosunków lądu stałego będą miały spostrzeżenia dokonane w dziedzinie roślin jawnopłciowych; pod tym względem szczególnie urodzajną dla nauki glebą będzie obok zachodniej Ameryki wschodnie wybrzeże Azji, dawny półwysep a dziś wyspa Tajmir, wybrzeża Morza Karyjskiego i grupy wysp tamże położonych.

Zwróćmy się teraz do rozpatrzenia istotnych korzyści praktycznych wyprawy i następstw, jakie ona przyniesie rokuje handlowi i przemysłowi. Zdaje nam się, że następstwa te dotychczas nie zostały należycie ocenione.

Nordenskjöld sam wyraża się wprawdzie pod tym względem bardzo skromnie; uważa on za rzecz niemożliwą rozstrzygnąć już dzisiaj: czy podróż „Vegi“ będzie mogła powtarzać się corocznie; sądzi, że drogę morską łączącą Ocean Atlantycki ze Spokojnym wzdłuż wybrzeży północnej Syberii będą mogły odbywać w kilku tygodniach silnie zbudowane okręty, że jednakże ta droga nie zdobędzie sobie nigdy pierwszorzędnej wartości handlowej; że komunikacji pomiędzy Europą a Jenisejem nie stoi nic wielkiego na przeszkodzie; że da się również utrzymać z pożytkiem dla handlu stała komunikacja wodna pomiędzy Leną i Jenisejem, tudzież Leną i Europą, jakkolwiek nie będzie można odbyć podróży tam i napowrót w ciągu jednego lata; że nareszcie linia od Leny do cieśniny Behringa będzie mogła stale służyć za drogę handlową.

Nie podobna nie uważać otwarcia Syberii dla handlu morskiego za wielką zdobycz; nie podobna nie powitać z zapalem ziszczenia marzeń kilku stuleci. Umysł wszakże krytyczny człowieka naukowego może uczestniczyć w tej radości z dokonania dzieła, które w historii pracy ludzkiej, tak

wybitne zajęło miejsce, ale nie może dać się jej oszołomić; sam też Nordenskjöld, jak widzimy, ma niejaki wątpliwości: on, jako prawdziwy, bezinteresowny badacz prawdy, nie przecenia tego, co sam odkrył i zdziałał. Jeżeli brakło komukolwiek jeszcze rysu do uznania wielkości naukowej Nordenskjölda, ten mu powinien wystarczyć. O tem, że przymarznięcie Wegi nie uzasadnia doniosłego zarzutu przeciw możliwości drogi handlowej pomiędzy Leną a Oc. Spokojnym, wspomnieliśmy już wyżej. Nordenskjöld zebrał z ust Czukczów cały szereg wiadomości o stosunkach lodowych północno-azyatyckiego pobrzeża, które mają pozór zupełnej wiarygodności, a jednogłośnie twierdzą, iż droga ta latem, t. j. od Maja lub Czerwca, aż do drugiej połowy Września albo początków Października bywa wolną od lodów, który-to okres wystarcza najzupełniej do przebycia odległości pomiędzy Oceanem Spokojnym i napowrót przez cieśninę Behringa.

Peryodyczna zmiana klimatu daje się dostrzec we znaki. Wydarzyło się to już na Morzu Karyjskiem, gdzie zaraz w rok po wyprawie Nordenskjölda parę innych, dobrze zorganizowanych i z umiejętnym planem podjętych, wypraw nie zdołało dotrzeć do ujścia rzek syberyjskich. Nie należy przytem lekceważyć wyjątkowo wzorowego uzbrojenia „wegi“: nie każdą podróż handlową można przedsięwziąć z tak doskonale wyposażonym okrętem; w ogóle wątpliwość potrzeba: azali da się urządzić tamtędy regularna komunikacja handlowa. Taka zaś tylko komunikacja miałaby wartość dla handlu; jednorazowe powodzenie, lub nawet częstsze, nie daje światu kupieckiemu należytych rękojmi, na jakich opierać się powinna pewność i ścisłość interesów. O opłynięciu przylądka Czeluskin nie da się nic stanowczego powiedzieć, ponieważ nie zbadano dotąd morza północno-syberyjskiego, a jednorazowa, pomyslnym skutkiem uwieńczona przeprawa niczego nie dowodzi. Jest ono w każdym razie niebezpiecznem, a ponieważ cała ta część północnej Azji pod względem kupieckohandlowym trzeciorzędą posiada wartość, ponieważ należałoby dopiero zaprowadzić we wnętrzu kraju komunikację kanałową pomiędzy Leną i Jenisejem, to nie postąpimy chyba lekkomyślnie, jeżeli odmówimy tej części drogi przebytej przez Nordenskjölda znaczenia szlaku handlowego, mającego przed sobą przyszłość.

(Dokończenie nastąpi)

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

— Otrzymałszy dla umieszczenia w *Bluszczu* następującą odezwę:

„Grono ludzi, zajmujących się ułożeniem Książki Pamiątkowej o b. Szkole Głównej, ponawia dawniej już ogłoszone wezwanie do wszystkich byłych studentów tej szkoły, ażeby zechcieli nadesłać następujące informacje: 1) rok i miejsce urodzenia; 2) szkoły, do których uczęszczali; 3) rok wstąpienia do b. Szkoły Głównej i czas pobytu w niej; 4) stanowisko obecne, a także prace drukiem ogłoszone.

„Informacje te posłużą do ułożenia spisu studentów b. Szkoły Głównej, który wejdzie w skład historii losów tej instytucji.

„Byli studenci *Wydziału Prawnego* raczą nadsyłać wiadomości powyższe pod adresem *Jana Maurycyego Kamińskiego*, ulica Niecała Nr 8; *Wydziału Lekarskiego*, pod adresem *Dra Konrada Dobrskiego*, ulica Marszałkowska Nr 50; *Wydziału Matematyczno-Fizycznego*, pod adresem *Eugeniusza Dziemulskiego*, ulica Podwal Nr 2; *Wydziału Filozoficzno-Historycznego*, pod adresem *Piotra Chmielowskiego*, Redakcja *Ateneum*, ulica Włodzimierska Nr 14.

„Upraszamy wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej odezwy“.

— *Tygodnik ilustrowany* w Nr 301 odświeżył pamięć księżny *Karoliny Sayn-Wittgenstein*, Polki



od lat 23 zamieszkała w Rzymie. Przed pięciu laty już *Kłosa* (r. 1876, Nr 599) w „Liście włoskim“ pana Kulczyckiego, wspomniała o niej i o świeżo wyszłym podówczas, a przypisywanem jej dziele, które w Watykanie wielkie wywołało wrażenie, w r. zaś 1879 dostało się na Index. Toż samo pismo w r. 1877 (Nr 614) podało podobiznę ukrywającą się przed światem i krytyką myślicielki. Obecna wzmianka biograficzna p. Artura Wołyńskiego z Florencji, daje pełniejsze, choć jeszcze niedokładne, wyobrażenie o ciekawej osobistości i ciekawszej jeszcze działalności umysłowej naszej rodaczki; pięknie wykonana podobizna ilustruje tę wzmiankę. Księżna Saïn-Wittgenstein, z domu Iwanowska, urodziła się w r. 1819 na Podolu. Wydana gwałtem prawie za mąż za człowieka lichego, nie umiała dla swego umysłu wyższego, dla porywów ducha i pragnień serca znaleźć dróg w życiu i znalazła je poza życiem, w książkach. Pięknie już wykształcona w domu, własną usilną pracą nabyła tak wielkiej wiedzy, że można ją niezaprzeczenie nazwać najuczepszą z Polek. W kierunku, który sobie dla prac swoich obrała, przejawia się wyraźnie owo wykołajenie ze świata przez nieszczęście. Ona, powołana do życia, do szczęścia ziemskiego, do działalności praktycznej, ascetycznie prawie zamknęła się w religii i znalazła ciche dla duszy swej ustronie w teologii, moralności religijnej i dziejach Kościoła. Pracy w tym dziale oddała się z naukowem, prawdziwie poważnem jej zrozumieniem i naukowo też do niej się uzdolniła. W czterdziestym roku życia zabrała się do nauki języków wschodnich biblijnych, aby mieć możność oparcia się na tekstach oryginalnych; w łacinie i greccyźnie oczywiście z całą swobodą porusza się musi. Historią Kościoła poznała do głębi i mało dziś jest pewno w Europie umysłów, któreby pod względem biegłości w rzeczach kościelnych zmierzyć się z nią mogły. Od lat dwudziestu opracowała kilkanaście większych i mniejszych dzieł i rozpraw, których tytuły podaje p. Wołyński w swym artykule. Rzecz uderzająca: ta Polka, za której polskość rzeczy nam pan Kulczycki, wszystkie dzieła swoje pisze powłosku lub pofrancuzku, i nawet rzeczy tak przystępnych, tak na poczytność liczyć mogących, jak dwa traktaty moralne: *Przezorność węzłów i prostota gołębic* (Mat. X, 16), oraz *Ojciec nasz*, nie wahała się skreślić w mowie cudzoziemskiej. Dzieła jej nie znajdują się wcale w obiegu księgarskim; autorka każe je drukować w małej liczbie exemplarzy, u Aurelego, na placu Borghese w Rzymie, a wydrukowane trzyma pod zamknięciem, aż do dnia swego skonu: wtedy dopiero myśli jej i badania staną się własnością wszystkich. Dziś szczupła tylko garstka szczęśliwie wtajemniczonych zająrzeć mogła do wnętrza tych ukrywanych przed światem owoców niepospolitego talentu i zdumiewającego trudu. Sława za życia nie jest tu tylko hołdem przyjaźni lub bezczelnością pochlebstwa: znają dzieła naszej rodaczki przeciwnicy jej umysłowi i przyznają im wysoką wartość. Rzym nazywa ją *fenomenalną Polką*, a Montalembert uważał ją za największą myślicielkę XIX w. Ona sama najwyższą stawia z dzieł swych *Dogmatykę*. Autorstwo owego dzieła potępnego w r. 1879: *Des causes intérieures de l'affaiblissement extérieure de l'Eglise* nie zostało jej doowiedzianem. W liczbie dzieł już wydrukowanych mieści się i *Porównanie buddaizmu z chrześcijaństwem*.

— Od 15 do 20 Września r. b. zasiadał w Wenecji kongres międzynarodowy geograficzny, połączony z wystawą przedmiotów do tego działu umiejętności ludzkiej należących. O naradach nic jeszcze powiedzieć nie możemy. Wystawa była wspaniała i obfita; nadesłały: Włochy

1,163 przedmioty, Wielka Brytania 906, Francya 689, Węgry 507, Szwajcarya 477, Niemcy — tylko 370. W wystawie i w kongresie uczestniczyły jeszcze i inne państwa europejskie oraz Stany Zjednoczone. Kongres obradował w 8 oddziałach: 1) Geografia matematyczna, 2) Topografia, 3) Hydrografia, 4) Geogr. fizyczna, (meteorologia etc.), 5) Geogr. antropologiczna, 6) Geogr. handlowa, 7) Geogr. metodyczna, 8) Podróże. Mapy odznaczały się doskonałością naukową i techniczną. Jako historyczne świadectwa występowały między innymi dwie najdawniejsze mapy Ameryki, jedna przez syna Kolumba, Ferdynanda, druga przez Ribera, oraz sławna „Mapa całego świata“ mnicha Fra Mauro.

— W Berlinie, u Ashera et comp., zaczęło wychodzić pomnikowe, a dla archeologii i historii kultury ważne, dzieło *W. Reisa i A. Stubel'a: Das Todtenfeld von Ancon in Peru, Ein Beitrag zur Kenntnis der Cultur und Industrie des Inca-Reiches nach den Ergebnissen eigener Ausgrabungen*. Jestto owoc skrętnych a wytrwałych poszukiwań w wielkiem cmentarzysku Indian południowo-amerykańskich nad Oceanem Spokojnym, na północ od Limy. Główną stroną wydawnictwa stanowią tablice przepysnie wykonane, wraz z objaśnieniami; ogólna ich liczba wyniesie 110. Dodany będzie nadto wykład obejmujący syntetycznie całość kultury peruwiańskiej. Po pracach Tschudiego, który Inków uważa za pokrewnych plemieniu mongolskiemu w Azji Wschodniej, po dociekania Rivera i Squiera, dzieło dwóch uczonych podróżników niemieckich posuwa dalej wiedzę o tajemniczym narodzie odkrytym i zabitym zaraz przez Pizarra.

— Opis ciekawych poszukiwań, jakie przedsięwzięto w r. 1878/80 dla odnalezienia szczątków pozostałych z *Wyprawy Franklina* w latach 1845/7 wydał obecnie p. Henryk von Klutschak u Hartlebena w Wiedniu p. t.: *Als Eskimo unter den Eskimos*. Książkę tę zdobią liczne ilustracje, pięknie rysowane przez samego autora, oraz trzy mapy geograficzne. Klutschak był rysownikiem i geometrą wyprawy.

— Zabytki sztuki i kultury w Ameryce Środkowej. W końcu Sierpnia r. b. do Muzeum w Berlinie przybyły niezmiernie ważne w historii sztuki *Rzeźby ze zwalisk indyjskiego grodu w Santa Lucia de Cosumalgapan* w Gwatemali. — Kapitan Evans odkrył w Meksyku płytę kamienną, pokrytą piśmem Azteków, mającą w środku wyobrażenie słońca. Niepionnym jest domysł, że płyta nakrywała ołtarz, na którym składano ofiary słońcu.

— W Grecji poszukiwania na terytorium dawnej Olimpii nie ustają, a w miarę ich powodzenia wzbogaca się i Muzeum Berlińskie.

Na wyspie Mykonos, w tym samym zbiorze Cyklad, do którego należy wyspa Melos, sławna posągami Wenery, znaleziono dwa posągi Diany: jeden bez głowy, drugi dość dobrze zachowany, oba przeslicznych kształtów.

Na północo-zachód od Koryntu w pobliżu rzeki Selinus, pod wsią Manussa, w miejscowości dawnej Kerynii, odkopano starożytny teatr grecki. Stał on na wysokiej górze i, zasypany przez ziemię i głązy, pod tem nakryciem i dzięki położeniu swemu, dochował się do dni naszych tak dobrze, iż na przyprowadzenie go do stanu użytkowego wystarczy bardzo skromny fundusz.

— Ma być wydana *Korrespondencya Piotra Wielkiego*: rzecz ważna dla naszej historii czasów saskich. Wydawnictwa takie wtedy tylko mają znamiona wiarygodności naukowej, gdy ster ich był naukowym, to jest rozumnym i niepodległym.

— W roku przyszłym, d. 21 Września, przypada 1900-letnia rocznica śmierci Wirgiliusza, zmarle-

go w 19 r. przed Chrystusem. Włosi chcą w tym dniu poświęcić pomnik, mający się wzniesić ze składek publicznych. Inna, goręcej Włochów zajmująca, rocznica zbliża się na r. 1883: pamiątka urodzin Rafaela, który przyszedł na świat w Urbino d. 6 Kwietnia 1483 r. Uczczeniem tego dnia teraz już zajmują się uczeni nie tylko włoscy, ale i w ogóle europejscy, zagłębieni w dziejach sztuki, oraz estetycy i miłośnicy malarstwa. Spór o datę śmierci mistrza podziśdzień nie jest stanowczo rozstrzygniętym. Zajmującym się choćby zdaleka tą sprawą — zajmujących się zblizka niema chyba u nas — wskazujemy bardzo gruntowną rozprawę w augsburskiej *Allg. Ztg.* z r. b. Nr 208.

— Znakomite prelekcye Brandesa, profesora uniwersytetu Kopenhadzkiego: *Główne prądy literatury XIX stulecia*, wychodzą obecnie w przekładzie polskim jako dodatek bezpłatny do czasopisma warszawskiego *Prawda*.

— P. Kazimierz Bartoszewicz ukończył już wydanie 10 tomów dzieł swego ojca, na które ogłosił był prenumeratę, i wypuścił już w obieg księgarski T. XI, poza prenumeratą stojący. W dziesięciu tomach znajdują się *Historja Literatury Polskiej* (T. I i II), *Dzieje pierwotne Polski* (czasy piastowskie, T. III — VI), *Szkice z czasów saskich* (T. VII), poraz pierwszy wydane, podobnie jak i *Dzieje pierwotne*, wreszcie *Studia historyczne i literackie* (T. VIII — X). Całość spuścizny po Bartoszewiczu przedstawia las wiadomości o Polsce, z różnych, mniej lub więcej ważności posiadających, zakresów życia. Żaden uczony nie obędzie się bez Bartoszewicza, każdy miłośnik rzeczy oczyszczonych — a któżby ich miłować nie chciał? — weźmie go z przyjemnością do ręki i nieoceniony odniesie z nich pożytek. Bartoszewicz kocha przeszłość, nawet wtedy, gdy rany jej ukazuje, i ten dar: widzenia wszystkiego a kochania jednego ponad wszystko — w czytelników swoich przelęwa. W dziełach swoich czcigodny pisarz złożył liczne owoce badań archiwalnych, odsłonił wiele nowych, nieznanych faktów, na wiele znanych rzucił światło nowe, nie własnego przywidzenia, ale rzeczywistości, która taką a nie inną miała postać. Zdumiewać się potrzeba ogromem pracy, która to wszystko z siebie wydała, a zrozumie się ten ogrom wtedy tylko, gdy się pomyśli, że nieboszczyk literalnie życie całe na badania swoje poświęcił. To, co syn ogłasza obecnie, po doprowadzeniu zamiaru do ostatecznie wytkniętej granicy, nie obejmie nawet połowy prac człowieka, który zrosł się z książkami, pergaminami i aktami staremi tak, że go śmiertelna nawet choroba oderwać od nich nie mogła. Śmiało powiedzieć można, że zjaka ósma część *Wielkiej Encyklopedyi Orgelbranda* zpod jego wyszła pióra. Bartoszewicz — to obraz niestrudzonego, prawego, szczerzego myśliciela, człowieka i pisarza, i mało jest, tak, jak on, poważnych bez pedanterji a sympatycznych bez poetyzowania historyków. T. XI i XII obejmą *Annę Jagielonkę*, pierwszy raz z rękopisma wydana; w dalszych zamierza wydawca pomieścić *Życiorysy*, znacznie zwiększone co do liczby; pierwsze wydanie, p. t.: *Znakomici mężowie polscy w XVIII w.*, ukazało się jeszcze w latach 1853/6 w Petersburgu, w 3 tomach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Warto się namyśleć.**

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TRÉSC. Ze „Snów o szczęściu“, poezya, przez Melanią Parczewską. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Szeregowiec, wspomnienie, (dokończenie). — Korrespondencya zagraniczna, (dalszy ciąg), Wiedeń. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań). — Adolf Eryk Nordenskjöld, (dalszy ciąg), według profesora J. Gerlanda. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Ноября 1881 года.